


*Spotkanie dwóch światów – tego, który nie może pamiętać, i tego, który nie chce
rozpamiętywać. Pokazane z wrażliwością, empatią i świadomością, że życie bywa
bardzo bliskie śmierci i że trzeba się spotykać, póki jeszcze są ci, którzy ocaleli.*

BERNADETTA DARSKA

Marta Sawicka-Danielak



ostatni
białystoker

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)



WSZECHŚWIAT, 27 CZERWCA 2022

– Mamo, pomocy! Za chwilę połącznie, a ja nie mogę znaleźć linku do Zooma!

– Spokojnie, mam już otwarte. Chodź do dużego komputera.

Na łączach coś zgrzytnęło, na ekranie wyświetlił się wielki napis Benjamin, a po chwili uśmiechał się do nas szczupły staruszek, w eleganckim kapeluszu, białej koszulce polo, z Apple Watchem na przegubie. Polscy staruszkowie wyglądają nieco inaczej, pomyślałam.

Nie mogłam uwierzyć, że właśnie siedzę naprzeciwko prawdziwego Bencele, a w zasadzie Bena. I że on ma się tak świetnie mimo dziewięćdziesiątki na karku, że rozmawia z naszą klasą online, bo sam mieszka w San Diego i wciąż jeździ po całych Stanach, i opowiada młodzieży o Holokauście. Nasze spotkanie nie było obowiązkowe, bo tydzień temu zakończyliśmy rok szkolny, dostając promocję do ósmej klasy. Bałam się, że nikt prócz mnie się na nim nie

pojawi. Ale dołączały kolejne osoby – z morzem w tle, w słonecznych okularach i baseballowych czapczkach. Pojawiła się niemal cała nasza klasa z Fabrycznej.

Dzień dobry, Ben. A właściwie dlaczego „Ben”, skoro przed wojną mówili na ciebie Bencele?

Po urodzeniu dostałem żydowskie imię Bencyjon, czyli w skrócie Bencele lub Bencel. W Izraelu, w którym zamieszkałem po wojnie, wszystkim zmieniano urzędowo imiona na hebrajskie. Stałem się więc Benjaminem, w skrócie Benem.

Ale na początku chciałem bardzo podziękować waszej klasie za zaproszenie. Ja przed wojną nie zdążyłem skończyć mojej siedmioklasowej szkoły na Kupieckiej. A bardzo ją lubiłem.

Lubiłeś się uczyć?

Nadal lubię. Nie przestaję być uczniem, choć dziś kończę dziewięćdziesiąt cztery lata. Gdy prowadzę spotkania dla młodzieży o Holokauście, zawsze mówię rodzicom: *teach the kids, and never stop learning*³³. Chodzę na zajęcia z komputerów i lekcje brydża. Mam gimnastykę, także wodną. Czytam codziennie wiadomości i rano spaceruję przez dwadzieścia minut. Ćwiczę z pięciokilowymi ciężarkami. Jem zdrowo i niewiele. Czasem na obiad tylko biały lub bajgiel. A gdy jestem w podróży, wystarczy mi garść migdałów, które wożę w aucie. Bo wciąż prowadzę samochód, oczywiście mam elektroniczną nawigację. Chcę być w formie. Zawsze chciałem. Nie odpuszczam. Życie jest takie ciekawe. Trzeba je dobrze przeżyć.

Wszystkiego najlepszego! A jak pamiętasz miasto swojego urodzenia?

Białystok miał bardzo dużą żydowską populację, a życie w nim było naprawdę dobre i szczęśliwe. Do wojny nie doświadczyłem tam żadnych nieprzyjemności. To było miasto przemysłowe, miało dużo fabryk, zwłaszcza włókienniczych i tekstylnych. Dziś tanie ubrania pochodzą z Chin czy Bangladeszu. A w latach trzydziestych to Białystok eksportował tanią konfekcję i przerobione szmaty do Chin, Indii i krajów Dalekiego Wschodu.

Jednak pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to nie fabryczny komin, ale las. Białystok był otoczony pięknymi lasami i miał dużo wspaniałych parków. W getcie, w obozach, było bardzo mało przyrody, tęskniliśmy za nią. Potem całe życie szukałem takiego kojącego lasu. Do dziś pamiętam też dokładnie nazwy białostockich ulic i numery budynków, których najczęściej już nie ma. Możecie mnie przepytąć.

Wierzmy! To trochę tak, jakby ten przedwojenny Białystok wciąż istniał.

Tak, mam go w głowie i w sercu. Wspominam Sienny Rynek, Rybny Rynek, kina, biały kościół, ratusz i beztrioskie wakacje w Dojlidach u polskiej rodziny. Potrafię powtórzyć dokładne adresy wujków, dziadków i własny. Mieszkaliśmy na Zastawskiej 4, zaraz obok starego cmentarza, który dziś jest parkiem. Ulica Zastawska też nie istnieje. Cała reszta jest w prezentacji Lei. Wszystko, co napisała, to prawda.

Jak pamiętasz ten dzień, 27 czerwca, tylko 82 lata temu?

To był dzień moich trzynastych urodzin. I jednocześnie najstraszniejszy dzień dla białostockich Żydów, zwany potem czarnym piątkiem – wtedy Niemcy po raz drugi najechali Białystok.

Nie byłem już dzieckiem. Wojna zmienia dzieci w dorosłych. Wiedziałem, że ich pojawienie się nie oznacza zepsucia moich urodzin, ale walkę o życie. Niemcy wkroczyli wczesnie rano i od razu zaczęli polować na Żydów: upokarzać, strzelać, wieszać na oczach mieszkańców. Nikt się tego nie spodziewał. Podpalili dzielnicę Szulhojf i oblali benzyną Wielką Synagogę z blisko tysiącem zapędzonych tam żydowskich mężczyzn i chłopców, których spalili żywcem, wrzucając do środka granaty. Plądrowali domy i sklepy, a komendant niemieckiej policji zachęcał podwładnych do rabunków. Po południu tego dnia upił się do nieprzytomności. W masakrze zginęło kilka tysięcy Białostokerów. Oczywiście moja wyczekana bar micwa się nie odbyła. Tego dnia miałem po raz pierwszy samodzielnie czytać fragmenty Tory w synagodze i stać się pełnoprawnym członkiem religijnej wspólnoty. Ale naszą synagogę i naszą wspólnotę strawiło morze ognia. Nie poddałem się. Bar micwę zrobiłem, gdy miałem osiemdziesiąt osiem lat, w USA. Znałem hebrajski, wiedziałem, jak czytać Torę.

A co to znaczy, że choć trwała wojna, to nikt nie spodziewał się Niemców?

Dziś jestem mądrzejszy o książki historyczne, to mogę powiedzieć. W 1939 roku Hitler i Stalin podpisali pakt o nieagresji i podzielili Polskę między siebie. Białystok przejęli Sowieci i ich okupacja przez dwa lata była dla Żydów o wiele łaskawsza niż okupacja niemiecka w innych miastach, na przykład w Warszawie. Ale 22 czerwca 1941 roku Niemcy niespodziewanie zaatakowali Związek Sowiecki. To się nazywało operacja Barbarossa. Wcześniej Rosjanie pozwalali nam jakoś funkcjonować. Dlatego

do naszego miasta przyjechało bardzo wielu Żydów uciekających z zachodnich ziem. Najczęściej nie mieli tu rodzin, więc koczowali wszędzie, wokół dworca, w bożnicach, przyjmowaliśmy ich w prywatnych domach.

To zupełnie tak, jak teraz. Ludzie z Ukrainy uciekają przed atakiem Rosji do Polski. Przyjmujemy ich w domach, bo dużo osób nie ma się gdzie podziać. Do naszej klasy chodzi Yulia. Jej miasto zostało zbombardowane przez Rosjan, z jej bloku została dziura w ziemi, a jej rodzina zginęła podczas ucieczki. Czy możesz coś powiedzieć takim osobom jak Yulia, które straciły swój dom i rodzinę?

Bardzo mi przykro, że przez to przechodzisz. Rozumiem cię, bo przeżyłem to wszystko. Przeżyłem też inne rzeczy, bo nasza wojna miała obozy i krematoria, miała „fabryki śmierci” tak skuteczne, że w jeden dzień zgazowywano i palono na popiół nawet dwadzieścia tysięcy osób. Nie mogliśmy uciec do żadnego innego kraju w Europie, więc nie można tych dwóch wojen porównywać. Ale każda wojna to cierpienie. I każda się kiedyś kończy. Nie ma innej drogi prócz tej, by być silnym i patrzeć do przodu. Wszyscy musimy akceptować sytuację, bez względu na to, jaka jest, i spróbować znaleźć tymczasowe jej rozwiązanie. Bo większość problemów da się rozwiązać, to tylko kwestia naszego podejścia. Jedynie wojna to faktycznie problem, który od nas nie zależy. To sprawa kłosa polityków, na które nie mamy wpływu. A z tym, na co nie mamy wpływu, nie możemy przecież walczyć. W takiej sytuacji należy oprzeć się na czymś większym niż my sami: na wierze w Boga, jeśli wierzycie, na jakiejś sile wyższej, czy na miłości i nadziei na przyszłość. To pozwoli wam przetrwać

trudny czas. Nikt się nie spodziewał kolejnej wojny w Europie. Ale Rosja była i jest nieprzewidywalna. Jestem pod szczególnym wrażeniem bohaterstwa Ukraińców. Wysyłają żony i dzieci do Polski, a sami stają do walki o swój dom. Taka rzecz się nie zdarzyła w historii za mojego życia. A przecież przeżyłem Drugą Wojnę Światową i potem walczyłem o mój kraj, Izrael.

A myślisz, że ta agresja dotknie też inne kraje? Że Rosja wywoła wojnę nuklearną? Bardzo często o tym teraz rozmawiamy i się tego boimy. Jak mamy myśleć o naszej przyszłości pozytywnie, kiedy wokół tyle katastrof, także klimatycznych?

Świat jest pełen katastrof i zagrożeń od zawsze. Ale nie można bez przerwy o tym myśleć, bo można oszaleć. Trzeba żyć życiem tu i teraz. Ja nawet w obozie śmierci starałem się skupić na tym, co aktualnie robię, zając głowę działaniem. Kiedyś dzieci były bardziej beztroskie i chronione, bo przedwojenni rodzice nie wta jemniczali dzieci w sprawy dorosłych. Bo przecież jeśli o czymś nie wiesz, to cię to nie dotyka. Nie mogliśmy sobie wtedy nawet wyobrazić rozmiaru tragedii, która nas czeka. Bo co by to dało, gdybyśmy wiedzieli? Może wszyscy z miejsca by się wtedy zabili. Odebrałoby nam to nadzieję i siłę. Owszem, trzeba wiedzieć, ale nie można być bombardowanym tragicznymi newsami z całego świata. Bo to tak, jakbyście sami ciągle byli w stanie wojny.

Nie miałeś w czasie wojny myśli samobójczych, depresji?

Nie. Jako kilkunastolatek przeżyłem najokropniejsze rzeczy, takie, jakie młodzież ogląda dziś z własnej woli w horrorach: trupy na ulicach, noworodki wyrzucane przez okno na bruk, tortury, głód, upokorzenie, strzelenie do ludzi dla zabawy. Ale wiedziałem, że

nie mogę się załamać, bo to niczego nie zmieni. A dzisiejsze dzieci, które z pozoru mają wszystko i nie przeżywają tego, co ja w obozie, coraz częściej popełniają samobójstwa. Dlaczego dzieci odbierają sobie życie, kiedy my walczyliśmy o nie za wszelką cenę?

Dorośli mówią nam, że mamy za dużo. Albo za dobrze. Też tak myślisz?

Nie, nie macie za dużo. Za dużo macie tylko internetu. Macie za mało. Nie macie rodziców i wspólnego czasu z nimi, bo oni muszą ciągle pracować i są zajęci. Dlatego zostają wam telefony. To kwestia samotności i zagubienia. My mieliśmy silne więzi z bliskimi i przyjaciółmi. Przyjaciele byli na podwórku, a nie w telefonie. Kontakt bezpośredni jest o wiele przyjemniejszy. Ludzie sądzą też, że zamiast wychowywać mogą pozwolić młodym na wszystko, czego sobie życzą. A nieograniczona wolność wcale nie uszczęśliwia. Dzieci muszą mieć jakieś kierunkowskazy. My mieliśmy wpajane zasady, wartości i dyscyplinę, która wyznaczała granice naszych zachowania. Mieliśmy szacunek do życia i naszych rodzin. Byliśmy silni naszą wspólnotą.

Opowiedz, co działo się po tym, jak zabrano cię z likwidowanego getta i musiałeś maszerować na Pietrasze.

Na polach Pietraszy zebrano ponad dwadzieścia pięć tysięcy Żydów – kobiet i dzieci, mężczyzn i starców. Ludzie stłoczeni w upale mdleli, płakali, umierali z pragnienia, oddawali cenne przedmioty za obietnicę kropli wody, której nikt im potem nie przynosił. Z daleka widzieliśmy płomienie getta, które powoli dogasały niczym żydowskie życie w Białymstoku. Ale piekło trwało. Otaczali nas Ukraińcy, Litwini, Rosjanie i Niemcy uzbrojeni w karabiny

maszynowe. Trzeciego dnia po południu pojawiło się kilku oficerów gestapo, którzy kazali ustawić się nam w szeregu. Wybuchło pandemonium, bo wszyscy spodziewali się egzekucji. Panika, kule, krzyk, trapiący się ludzie. Siłą i groźbą udało się Niemcom uspokoić tłum. Oficerowie chodzili wśród ludzi, mieli długie laski z półokrągłym zakończeniem i zaczepiali te rączki na szyi wybranych osób, wyciągali je z szeregu. Wiele osób protestowało i nie chciało wystąpić i opuszczać swoich rodzin. Ci byli dotkliwie bici lub zastrzeleni na miejscu. Szybko się okazało, że wybierają ludzi młodych i zdrowych, także kobiety, do pracy. Tak wybrali trzy tysiące osób, wśród nich mnie, wuja Barucha i jego syna Judę.

Jak długo jeszcze byliście razem?

Z Pietraszy załadowano nas do wagonów towarowych, po sto pięćdziesiąt osób na wagon, zaryglowano drzwi. Był gorący sierpień, nie mieliśmy czym oddychać i co pić. Jechaliśmy całą noc bez snu. Byłem blisko ściany, więc mogłem przyłożyć nos do szpary w desce, by łąpać powietrze. Wokół przybywało martwych ciał. Panował mrok i smród. Wszystko mnie bolało. By przeżyć, zacząłem jak inni pić własny mocz. W tamtym momencie myślałem, że nawet śmierć byłaby lepszym scenariuszem niż ten koszmar. Cały czas miałem nadzieję, że zaraz się obudzę, że ktoś mi powie: „Wychodź, przyjacielu, to tylko zły sen”. Miałem halucynacje, nie wiedziałem już, czy jedziemy drugi czy trzeci dzień. Wreszcie jedyne, co czułem, to słabość i zanik sił. W końcu pociąg zwolnił i się zatrzymał. Z daleka widać było światła zabudowań, a niedaleko napis „Treblinka”. Znowu poczułem przerażenie. W Treblince człowieka czekało tylko jedno: śmierć. Ale nasz wagon z dwoma innymi odłączono i odsunięto na bocznice. Przyjechała lokomotywa

i zabrali nas do Majdanka. Tam byliśmy razem z wujem i kuzynem do połowy września. Pewnego dnia, gdy na apelu staliśmy w strugach deszczu, trzęsąc się z zimna, przyszedł wysokiej rangi oficer SS i zaczął pytać każdego o zawód. Wuj, który w getcie pracował jako mechanik samochodowy, kazał mi powiedzieć, że też nim jestem. Ale gdy przyszła moja kolej, ze strachu nie umiałem skłamać i powiedziałem, że jestem prasowaczem.

„Jak taki młody chłopak może mieć już zawód?” – zapytał oficer.

„Nauczyłem się tego w getcie, bo musiałem utrzymać mamę i rodzeństwo. Pracowałem w fabryce krawieckiej, gdzie prasowałem mundury” – odpowiedziałem zgodnie z prawdą bez zastanowienia.

Ta odpowiedź wyraźnie zadowoliła Niemca. Kazał mi przejść do dwuosobowej grupy kobiet i mężczyzn, wybranych na krawców i szewców, którzy mieli szyć ubranie dla armii. Zabrali nas do obozu pracy w Bliżynie. To był ostatni moment, kiedy widziałem Barucha i Judę. Prawdopodobnie zabito ich dwa miesiące później.

A potem jak udało ci się uniknąć śmierci?

Gdy jeszcze byłem w białostockim getcie, wiedziałem, że wywieziono tysiąc dwieście dzieci. Wy dziś się uczycie w budynku, do którego je wtedy zebrano. Równie straszne historie działy się w szpitalu obok, na Fabrycznej. Ponieważ już wtedy wiedzieliśmy, że dzieci i chorzy wysyłani są na śmierć, od początku udawałem dorosłego. Dlatego w getcie, gdy miałem trzynaście lat, jako jedyny z rodziny chodziłem do pracy. Dzięki temu dostawałem dodatkową rację jedzenia. Podczas selekcji w Auschwitz ustawiono drewniane rusztowanie, które miało mierzyć wysokość.

Mali szli prosto do gazu, dlatego wspiąłem się wysoko, jak tylko mogłem, na palce i dotknąłem głową belki. Znowu ocalałem. W obozach też zgłaszałem się dobrowolnie do pracy i nic nie było dla mnie za ciężkie. Pracowałem przy osuszaniu bagien Birkenau. Kopaliśmy ziemię na głębokość znacznie większą, niż wynosił mój wzrost. Nigdy też nie trzymałem się w obozie z dziećmi czy nastolatkami, zawsze z dorosłymi. W moim baraku numer 10 w Birkenau byli sami dorośli.

Myślisz, że przeżyłeś dzięki swojemu wysiłkowi, sprytowi? Czy było w tym trochę cudu?

Było. Mówię o sobie nie tylko „ocalały”, ale „cudownie ocalały”. Gdy przyszło wyzwolenie, przebywaliśmy w niedużym niemieckim miasteczku, wysłano nas do czyszczenia ulic Berlina. Moi współtowarzysze pobiegli do opustoszałych domów w poszukiwaniu jedzenia. Po wieloletnim głodzie wkładali do ust, co tylko znaleźli. Ja nie zdążyłem, bo dostałem gorączki i okropnej wysypki na całym ciele. To była odra. Na tydzień zabrano mnie do szpitala, tam karmiono mnie racjonalnie. Tamci ludzie dostali biegunki i dyzenterii. W większości umarli. Ich osłabione organizmy nie były gotowe na taką ilość jedzenia, często nieświeżego. Kolejny raz cudem ocalałem.

Skąd masz te wszystkie zdjęcia sprzed wojny. Udało się je przechować w obozie?

Nie, w obozie człowiek nie miał niczego. Zabrano nam wszystko, łącznie z ubraniami. Ale siostry mojej mamy wyjechały przed wojną z Białegostoku do Argentyny. Dzięki temu, że jako dziecko zapamiętałem nazwisko po mężu jednej z nich, udało mi się ją

odnaleźć. Ciotki mieszkały potem w USA i dlatego też się tam przeniostem z rodziną, by być bliżej nich. Oddały mi zdjęcia, bo wiedziały, że nie mam żadnych rodzinnych pamiątek.

A czy Polacy jakoś pomogli ci w czasie wojny?

Nikt z naszej rodziny nie ukrywał się po aryjskiej stronie ani nie został uratowany przez Polaków jak Fela z prezentacji Lei. Ale spotkałem się z życzliwością i bezinteresowną pomocą polskich rodzin na wsi. Wuj Szmul mieszkał w budynku przy Polnej, za którym od razu był płot getta. Schodziliśmy z moim kuzynem Judą do piwniczki, która w tamtych czasach służyła za lodówkę, i przez okienko wyślizgiwaliśmy się pod ogrodzeniem getta. Stamtąd szliśmy piechotą na Dojlidy, do gospodarzy, z którymi współpracował przed wojną mój ojciec. Oni bez pytania dawali nam jedzenie: chleb, ziemniaki, ser, mięso. Kobiety mnie ścisnęły na pożegnanie i życzyły powodzenia.

Nie masz żalu do Niemców czy Polaków, do kogokolwiek?

Nie. Żal w niczym nie pomaga, może nas jedynie zatruć. Powiem wam taką historię. Mąż jednej z moich ciotek o imieniu Izrael też przeżył Holokaust. Gdy przyjechał po wojnie do Palestyny, nie umiał o tym zapomnieć. Wciąż rozpamiętywał, zamęczał tym siebie, rodzinę i znajomych. I choć ocalał, to jednak „to” go zabiło. Zmarł na wylew w wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Jak mogę mieć żal do dzisiejszych Polaków, za to, że ktoś kazał mi się wynosić, gdy wróciłem po wojnie do Białegostoku? Przecież tamtych ludzi już nie ma. Nie mam też żalu do Ukraińców, którzy pomagali nazistom i byli wobec nas bardzo brutalni, a w getcie robili najczarniejszą robotę. Dziś żyją zupełnie inni ludzie, nie mogę ich



Ben w „Domu Polski” otwartym w 1938 r.
w parku kulturowym Balboa w San Diego, 2023 r.

winić, bo nie mają nic wspólnego z tym, co przeżyłem. Narody też się zmieniają.

A kim się czujesz. Polakiem, Amerykaninem, Żydem?

Jestem Żydem mieszkającym w Stanach i uważam USA za najwygodniejszy kraj do życia. Ale moja pierwsza identyfikacja to Izrael. Tam zamieszkałem po wojnie, tam walczyłem jako żołnierz, wziąłem ślub i doczekałem się dwóch pierwszych córek. Razem z żoną Ester, która zmarła w zeszłym roku, podjęliśmy kiedyś decyzję o wyjeździe do Stanów. A do Polski bardzo często wracam myślami.



17-letni Ben niedługo po wyzwoleniu

Czym mamy się kierować w życiu?

Instynktem. I sercem, i głową. Bądźcie cierpliwi, optymistyczni i pewni swojego celu. Jeśli bardzo czegoś pragniecie, to się to uda. Teraz stoicie przed wyborem liceum, potem studiów. Jeśli bardzo chcecie, możecie zostać każdym: lekarzem, prawnikiem, aktorem. Możecie być kimkolwiek chcecie, ale zastanówcie się nad tym, jaki jest ten cel. Wtedy nawet wysiłki, nie będą takie ciężkie, a inni ludzie was nie zrażą. A co do kierunku w życiu, to moje motto brzmi: Wczoraj minęło, dziś jest lepszy dzień, a jutro będzie jeszcze szczęśliwszy. Jest takie angielskie powiedzenie: *If there is a will, there is a way*. Jeśli jest wola, to sposób się znajdzie. Nie możesz się poddawać z powodu niepowodzeń, bo one zawsze po drodze będą. Musisz wierzyć, że

się uda. Ja jestem tego żywym dowodem. Jesteście teraz dokładnie w tym wieku, w którym ja byłem w getcie i szedłem do obozu. A byłem w sześciu. Nic nie zapowiadało, że przeżyję. Mój sekret jest taki, że umiem się adaptować do okoliczności, bo wiem, że życie jest zmienne, nie ma tak, by zawsze było dobrze. To pozwala iść dalej. Trzeba zawsze patrzeć do przodu, a nie za siebie.

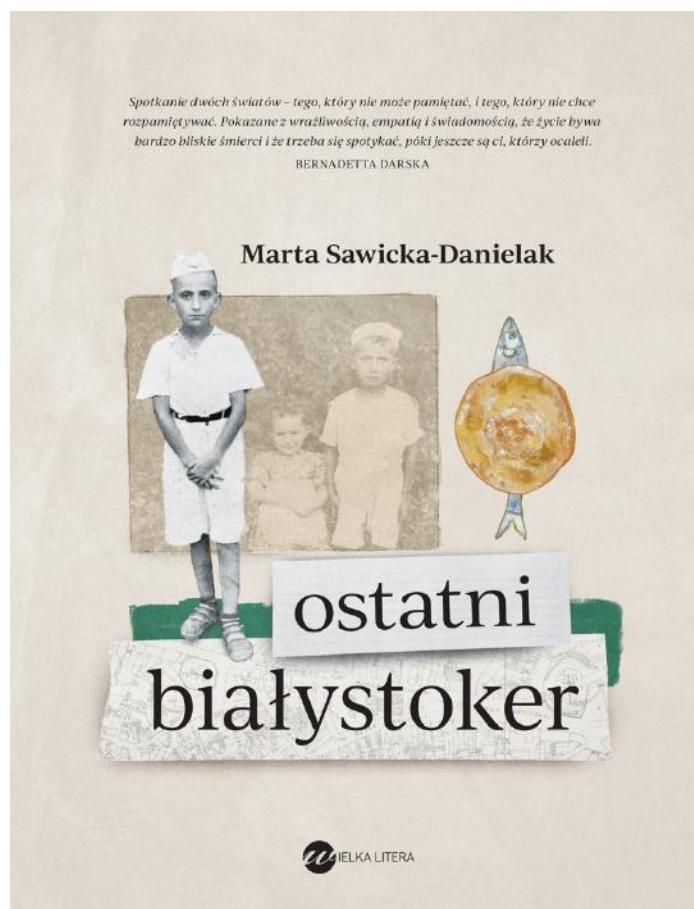
Jak ci się to wszystko udaje?

Może dlatego, że dogaduję się ze wszystkimi i jestem bezproblemowy. Wszyscy mnie lubią, nie mam konfliktów. Choć obóz to oczywiście nie była kwestia sympatii.

Czyli zapomniałeś wszystko, co złe?

Nie, nie zapomniałem. Ale nie rozpamiętuję. Żyję tym, co jest teraz i co jeszcze mnie czeka. Nigdy nie przestałem mówić o swoich doświadczeniach, by ta straszna historia, która się wydarzyła, pozostała ostrzeżeniem dla kolejnych pokoleń. Musimy szerzyć pokój i tolerancję dla wszystkich. Trzeba pamiętać, że każdą masową nienawiść poprzedzają pojedyncze gesty i słowa. W zeszłym roku niedaleko mojego domu ktoś namalował na szkole średniej Bonita Vista wielką swastykę – hitlerowski znak, a obok znak anty-LGBTQ. Tak się właśnie zaczęła Zagłada, od antyżydowskich napisów na sklepach. Nie bądźcie obojętni na kłamstwo i na złe traktowanie drugiej osoby. Pamiętajcie, że złe rzeczy zaczynają się od drobnych słów, potem czynów. Nie można ludzi nienawidzić i dyskryminować, bo są inni niż my. Wyciągnijcie lekcję z naszego cierpienia, niech ono nie pójdzie na marne. To obowiązek nas wszystkich.

Przeczytaj więcej o książce:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl

